

03. 11. 2006

(*)Izabella Jachimska , Jan Złotorowicz

Polska fikcja

Skandal z Afrika Korps, cisza wokół Leibstandarte

Polskie media żyją skandalem w niemieckiej armii: emblemat hitlerowskiej formacji Afrika Korps pojawił się na jeepach niemieckich komandosów w Afganistanie. Mamy poczucie, że nikt nie był aż tak bardzo zbulwersowany, gdy „TRYBUNA” napisała, że symbol innej hitlerowskiej jednostki – Dywizji Pancерnej SS Leibstandarte Adolf Hitler – pojawił się na polskim wozie bojowym w Iraku.

W każdym razie różnica w reakcji władz polskich i niemieckich na to samo pożałowania godne wydarzenie jest ogromna. Niemiecki rząd zareagował bardzo ostro. Polskie władze reagowały opieszale, pokrętnie, a efekty ich działania w tej sprawie są żadne.

Ujawnione przez tygodnik „Stern” zdjęcia przedstawiają samochody niemieckich komandosów jednostki KSK z wymalowanym symbolem palmy, używanym przez walczący w Afryce korpus Wehrmachtu pod dowództwem Erwina Rommla. Użycie tych symboli przez żołnierzy Bundeswehry w Afganistanie wywołało szok. Minister obrony Josef Jung wdrożył postępowanie dyscyplinarne. Jest w tym bardzo zdecydowanie wspierany przez kanclerz Angelę Merkel, domagającą się dla żołnierzy „najsurowszych kar”. – W szeregach Bundeswehry nie ma miejsca dla nikogo, kto obraża wartości i konstytucyjne zasady działania sił zbrojnych – oświadczył Jung.

A u nas? Fikcja na całego. Sprawę znaku Leibstandarte Adolf Hitler „TRYBUNA” opisała w lipcu. Przez cały sierpień sprawdzaliśmy, co w związku z tym robi nasze Ministerstwo Obrony Narodowej. Za wiele tego nie było. Skandalu nie potępił żaden z polityków rządzącego Prawa i Sprawiedliwości. Minister obrony Radosław Sikorski, wzywany przez nas do przeproszenia polskich ofiar wojny i weteranów, milczy do tej pory.

Jego rzecznik Piotr Paszkowski twierdzi jednak, że rząd zrobił, co można było. – Przeprowadziliśmy postępowanie wyjaśniające w Iraku. Wszystko jednak stanęło w miejscu. Ze względu na obiektywne trudności nie udało nam się niczego definitywnie ustalić – mówi. Sztab Generalny wysmarował nawet kilkustronicowy raport ze śledztwa. – Konkluzja jest taka, że niczego ze 100-proc. pewnością nie udało się ustalić. Nie zachowały się żadne zdjęcia tych pojazdów z momentu, kiedy je przejmowaliśmy od Amerykanów. Nie jesteśmy więc w stanie ustalić, czy znak pojawił się na pojeździe za sprawą żołnierzy amerykańskich, czy naszych. Jest jedna znacząca sugestia. Rodzaj farby, która została użyta, raczej wskazuje na to, że został on umieszczony na pojeździe przed przekazaniem go stronie polskiej – tłumaczy w rozmowie z „TRYBUNĄ” rzecznik Paszkowski.

Dzięki publikacjom „TRYBUNY” udało się osiągnąć coś, co w wojsku powinno być standardem. MON przejrzał oznakowania pojazdów bojowych i wydał w tej sprawie specjalne pouczenia. Wszystko po to, żeby za chwilę znowu się nie okazało, że nasi żołnierze posługują się w misjach zagranicznych pojazdami z nazistowskimi znaczkami. – Prawdopodobieństwo tego, że takie oznakowanie pojawi się znowu, jest w tej chwili minimalne. Oczywiście przy pewnym natężeniu ludzkiej głupoty jest prawdopodobne, że ktoś jakiś znak gdzieś umieści. Wszystkie jednak działania prewencyjne, jakie mogły zostać podjęte, zostały wykonane – deklaruje Paszkowski.

Uczmy się od Niemców

dr RAFAŁ PANKOWSKI, członek redakcji antyfaszystowskiego pisma „Nigdy Więcej”:

– To kolejny przykład na to, jak różne jest podejście do neofaszyzmu w Polsce i Niemczech. Różnice są, choć prawodawstwa obu krajów zakazują szerzenia wartości faszystowskich czy też wybielania zbrodni hitlerowskich. W Niemczech mamy do czynienia z bardzo konsekwentnym potępieniem takich zjawisk i ściganiem ich przez wymiar sprawiedliwości. W Polsce przypadki wyciągania konsekwencji wobec winnych

gloryfikowania faszyzmu są bardzo rzadkie. A przecież w Polsce powinniśmy być nie mniej niż Niemcy wrażliwi na treści faszystowskie czy nazistowskie.

Winnych należało znaleźć

JANUSZ ZEMKE (SLD), były wiceminister obrony:

– Dziwi mnie, że naszym władzom nic nie udało się ustalić. W takich sprawach powinniśmy być bardzo konsekwentni. Moim zdaniem, ustalenie winnych tego skandalu nie powinno być szczególnie trudne. Wiadomo, jaki to był pojazd, kto nim jeździł, kto jeszcze miał do niego dostęp. W tej sprawie należało przykładowo ukarać kogoś, żeby takie rzeczy się nie powtarzały. A tymczasem winnych nie ma. Możemy tylko nad tym boleć.

Kląć się chce

płk ROMAN ORŁOWSKI, prezes Zarządu Głównego Związku Żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego:

– Takich rzeczy to człowiek nawet nie chce komentować, bo musiałby brzydko mówić. Mam taką zasadę, że jak chcę przeklinać, to wolę policzyć do stu. W tej sprawie musiałbym liczyć do tysiąca. Wygląda na to, że nasze władze robią wszystko, żeby ta sprawa poszła w niebyt. Nikt nie będzie za to odpowiadał, nikogo nie ukarzą. Mogę mieć tylko nadzieję, że więcej już taki znak na pojazdach polskiej armii się nie pokaże. No, ale na głupotę nie ma lekarstwa.

Dzieje skandalu

To, że nasi żołnierze w Iraku mieli na transporterze opancerzonym emblemat Dywizji Pancerniej SS Leibstandarte Adolf Hitler z okresu II wojny światowej, opisaliśmy w „TRYBUNIE” 27 lipca. Znak jednostki to stylizowany klucz, czy raczej wytrych. Dywizja, wywodząca się z gwardii przybocznej Adolfa Hitlera (stąd nazwa), atakowała Polskę podczas kampanii wrześniowej 1939 r. Jej żołnierze słynęli z krwawych, wręcz bandyckich metod. Znak z wytrychem budził sześćdziesiąt kilka lat temu grozę i pojawienie się go na polskim wozie żandarmerii wojskowej było hańbą.

MON nękanym naszymi tekstami deklarował, że sprawę wyjaśni. Co chwilę dopytywaliśmy ministerstwo o efekty tego śledztwa. Nie było żadnych, oprócz spekulacji, że hitlerowski symbol umieścili na pojeździe żołnierze amerykańscy, którzy użytkowali go, zanim trafił on w polskie ręce. Nawet tego nie udało się jednak ustalić. Sprawą – choć wydawałoby się to oczywiste – nie zajęła się też warszawska prokuratura wojskowa. Nie chciał jej komentować prezydent Lech Kaczyński, formalnie zwierzchnik naszych sił zbrojnych.